

JUTRO POLSKI DWUTYGODNIK

POLISH FORTNIGHTLY "POLAND OF TO-MORROW"

TREŚĆ

Zgoda i wytrwałość —
Karol Leskowiec
Wilk, koza i kapusta —
Marceli Karczewski
Ekspansja i Asymilacja (dokoń-
czenie) — *Stanisław Sopiński*
Stosunki Polsko — *Ukraińskie*
Z mych wspomnień —
Stanisław Grabski
Spór wśród narodowców
Co to znaczy?
Są pieniądze

No. 30

14 DECEMBER — GRUDZIEŃ 1943

CENA 1/-

ZGODA I WYTRWAŁOŚĆ

Zbliżający się okres wielkich rozstrzygnięć w sprawach wojny i pokoju wzmaga niepokój w sercach wielu Polaków. Niektórzy zupełnie zapominają, że nie wolno tracić zimnej krwi i że niczego się nie osiągnie przez wszczynanie zbędnych sporów. Troskać się, uważnie śledzić wydarzenia, służyć radą i pomocą — to wszystko robić trzeba i należy. Nie należy natomiast rozogniać walk między Polakami, skoro teraz właśnie, bardziej niż kiedykolwiek, do przezwyciężenia wielkich trudności potrzebna nam jest zgoda i wytrwałość

Przeciwnicy rządu polskiego tu, na ternie W. Brytanii, powinni być tymbardziej powściągliwi, że na kierunek całej naszej polityki niemalże wpływ ma Kraj

P. Prezydent Rzeczypospolitej stwierdził w przemówieniu z dnia 11 listopada :

"Dzisiaj Polska bierze udział w wojnie jako suwerenne państwo, żołnierz walczy pod własnym sztandarem państwowym, a chociaż Kraj jest w mocy wroga, istnieją Naczelne Władze Państwowe, które nie tylko czuwają nad realizacją naszych celów wojennych, ale utrzymują pełną łączność z krajem i są jego woli wyrazem."

"Pełną łączność z Krajem i są Jego woli wyrazem"
Warto zapamiętać te słowa Głowy Państwa.

Tego samego dnia p. Premier Stanisław Mikołajczyk, przemawiając do cudzoziemców, oświadczył :

"Ostatnio w dniu 15 sierpnia tego roku cztery stronnictwa Kraju, reprezentujące absolutną większość polskiego społeczeństwa, współdziałając z delegatem Rządu w Kraju, opublikowały swój program, pokrywający się całkowicie z demokratycznym programem i polityką Rządu Polskiego w Londynie."

Podczas pobytu w Palestynie Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, przemawiając do żołnierzy podkreślał zasadę jedności narodowej stwierdzając równocześnie, że mamy prawowity rząd Rzeczypospolitej i legalne władze państwowe.

"Wielkim niebezpieczeństwem dla narodu — mówił — są rozterki i waśnie emigracyjne. Cena takiego narodu musi spadać gwałtownie na arenie sojuszniczej, a jego racja stanu stać się może łatwo przedmiotem przetargów. Głowa pań-

stwa, Rząd Polski, Polskie Siły Zbrojne — stanowią zwartą jedność na trudnym szlaku, wiodącym do Ojczyzny. Rząd wskazuje drogę, a wojsko kroczy po nich miarowym i zwartym krokiem."

Wiemy dobrze, jak się wysilają nasi wrogowie, by zastrzyć tarcia między Polakami, by wykazać, że Rząd nie ma za sobą narodu, że ma bardzo wielu przeciwników. Niechże więc ci wszyscy, którym Rząd obecny się nie podoba, dobrze rozważą, jak mają działać, by mimowoli nie pomóc wrogom.

Atakuje się w obcojęzycznej prasie raz wojsko polskie, raz koła cywilne. Wyolbrzymia się wszelkie różnice zdań, ośmiesza się poczynania rządu polskiego, wróży mu się rychły upadek. W takiej sytuacji zdrowy instykt narodowy mówi nam, że trzeba zwierzać szeregi, łączyć się i skupiać. I rzeczywiście niektóre rachuby wrogów zawiodły. Nie wiemy jak będzie dalej, ale narazie z dużym zadowoleniem dowiadujemy się o zgodnych, jednomyślnych decyzjach i posunięciach. Ten stan rzeczy wzmacnia naszą pozycję na terenie międzynarodowym. P. Min. T. Romer oświadczył przed dwoma tygodniami w wywiadzie prasowym :

"Zasadnicze decyzje Rządu związane z obecnym położeniem międzynarodowym i z naszą linią postępowania w Kraju i na obczyźnie powzięte zostały jednomyślnie, po uprzednim przedstawieniu sprawy Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i po jej gruntownym rozpatrzeniu z udziałem Naczelnego Wodza. Ta harmonia i jednomyślność w łonie Rządu ułatwiają moje trudne zadanie kierownika naszej polityki zagranicznej."

Oczywiście trudno marzyć o osiągnięciu jednomyślności w całym naszym społeczeństwie emigracyjnym. Nie można też wymagać, by ucichła wszelka krytyka i zanikła wszelka opozycja. Jest jednak obowiązkiem i to, jak zawsze obu stron — zbadać co można zrobić, by pokrzyżować plany wrogów i ich nadzieje na rozbicie frontu polskiego. Rządzący powinni zawsze uważnie słuchać słów krytyki i badać, czy ręka wyciągnięta do zgody zostałaby istotnie odtrąconą. Przeciwnicy niechże się zastanowią, czy jest w ich przeszłości politycznej coś, co by uprawniało do nadziei, że istniejące trudności potrafią łatwiej przezwyciężyć i lepiej poprowadzić politykę polską. Niech sumiennie rozważą pytanie, czy niezbędna jest ich głośna, hałaśliwa akcja opozycyjna, czy

naprawę wyczerpali wszystkie możliwości przeprowadzania swych projektów bez ostrej, namiętnej a jawnej walki prasowej, którą tak uważnie śledzą wrogowie Polski.

Obok zgody — drugi ważny warunek powodzenia w naszej walce — to wytrwałość. Wojna trwa 5-y rok, przeżyliśmy dużo nieszczęść, zawodów, rozczarowań, nieraz przedwcześnie oczekiwaliśmy zwycięstw a niekiedy malowaliśmy sobie sytuację w zbyt czarnych barwach. Niema w tym nic dziwnego, że niektórzy Polacy tracą zimną krew,

nie umieją się zdobyć na niezbędny spokój i jeszcze większą energię w pracy.

Musimy jednak żądać tego od wszystkich. Zimnej krwi i wytrwałości. Nie zniechęcać się, nie zbaczać z raz wytkniętej drogi, lecz iść naprzód, zwiększając wysilek i ofiarność w pracy dla Ojczyzny. W ostatniej fazie wojny nasz czyn powinien zaważyć na szali jeszcze silniej niż poprzednio. Trzeba wyteńczyć wszystkie siły i wytrwale zmierzać do celu.

Karol Leskowiec.

WILK, KOZA I KAPUSTA CZYLI WALKA Z FASYZMEM

Jak pogodzić zasadę wolności wyboru przez każdy naród formy rządów z walką z faszyzmem? Pytanie jest wielce aktualne, albowiem obie te rzeczy równocześnie były proklamowane nieraz przez rządy sprzymierzonych, ostatnio — z okazji Konferencji Moskiewskiej. Dotychczasowe odpowiedzi nie zadowolili opinii. Dowodem jest to, że pytanie pojawia się nadal w prasie i w radio. O tym zaś, że zagadnienie nie jest takie proste, świadczy fakt, iż nie rozwiązał go nawet . . . trust mózgów. Mamy tu na myśli specjalną audycję BBC, gdzie zespół mądrych ludzi rozprasza wątpliwości, dręczące szarego człowieka. Gdy niedawno trust mózgów biedził się nad rozwikłaniem dylematu, czy wolnością wyboru objęty jest również faszyzm, miało się wrażenie, że odpowiedź przychodzi — gronu wybitnych ludzi równie niesporo, jak dziecku — rozwiązanie dylematu przewiezienia jedną łodzią kapusty, kozy i wilka.

Gdyby stanąć na stanowisku ściśle formalistycznym, zagadnienie byłoby istotnie nie do rozwiązania. Trzebaby bowiem wziąć na łódź i wolność wyboru i faszyzm, kozę i wilka. Pomijając, że tego rodzaju dogmatyzm skończyłby się w praktyce tragicznie, również ze względów zasadniczych nie ma on uzasadnienia. Wolność wyboru i faszyzm nie są bowiem celami samymi w sobie, lecz jedynie środkami do osiągnięcia celów dalszych: szczęścia i pokoju świata. Na tej też płaszczyźnie trzeba dokonywać wyboru.

Czy jest on istotnie konieczny? Czy między wolnością i faszyzmem nie można znaleźć kompromisowego rozwiązania?

Sądźmy, że nie. Wprawdzie, napozór, mogłoby się wydawać, że sprzeczne z instynktem samozachowawczym każdego narodu byłoby opowiadanie się za niewolą wewnętrzną, gdy ma się również do wyboru wolność. Doświadczenie uczy jednak, że na tym instynkcie nie można w pełni polegać. Naród niemiecki n.p. zupełnie świadomie wybrał totalny rygor. Skłaniały się ku niemu i niektóre inne narody. Należy przewidywać, że po tej wojnie skłonność ta nie zginie. Każda wojna obrzydza wielu ludziom do końca ich dni życie na rozkaz. Jednocześnie jednak uczy ona innych ludzi rozwiązywania zagadnień rozkazem a jeszcze innych — podporządkowywania się rozkazom. W krajach, gdzie przez długie lata rządził wojenny czy okupacyjny rozkaz, dużo ludzi odzwyczaiło się od samodzielności myślenia, działania i ponoszenia odpowiedzialności. Niewątpliwie, w części społeczeństw koniec wojny wywoła tym większe pragnienie wolności. W części jednak wywoła obawę przed nią. Tym większą, że w niełatwych zagadnieniach, jakie wyłonią się po wojnie, wolność pociągnie za sobą ciężar szczególnej odpowiedzialności.

Trzeba się liczyć z tymi, niewątpliwie chorobliwymi, przeobrażeniami, jakie w łonie wielu społeczeństw wywołają lata wojny i ucisku. Nie wszyscy mając prawo wyboru sięgną po

receptę wolności; wielu może sięgnąć po truciznę życia na odpowiedzialność cudzą.

Gdyby nawet to niebezpieczeństwo było bardzo małe, jego konsekwencje byłyby dostatecznie doniosłe, aby zrobić wszystko dla odcięcia narodom możliwości wyboru trucizny. Jeżeli bowiem ta wojna ma przynieść ludzkości dłuższy pokój i więcej szczęścia, nie osiągnie się tego, jeżeli na świecie pozostaną rozsiane ośrodki totalistycznej choroby. Jedno zardzewiałe ogniwo może uczynić bezużytecznym cały łańcuch. Podobnie, fikcją pozostanie współpraca narodów, jeżeli znajdą się w niej ogniwa wykute przemocą.

Nie jest to zagadnienie nowe. Przesadą byłoby może mówić że jest ono stare jak świat. Sięga ono jednak co najmniej początków zeszłego wieku. Niewątpliwie bowiem wiele było racji w zasadniczej tezie, wysuwanej już przez Talleyranda w okresie wiedeńskiego Kongresu, że warunkiem przywrócenia szczęścia i pokoju w Europie jest uzdrowienie ustrojów wewnętrznych poszczególnych państw, przez likwidację rządów, pochodzących nie z prawa, lecz z uzurpacji. Wprawdzie Talleyrand, mówiąc o oparciu ustrojów wewnętrznych na prawie, miał na myśli nie tyle prawo ludu, co prawo boskie i jego wyraz — prawowitego monarchę. Zachowując jednak proporcje, wynikające z dystansu stu-kilkudziesięciu lat, współczesna teza walki z faszyzmem nie odbiega zbyt od Talleyrandowskiej walki z uzurpatorami władzy i od jego twierdzenia, że źródła zła w stosunkach międzynarodowych trzeba szukać przede wszystkim w ustrojach wewnętrznych narodów. Różnica jest tu zapewne mniejsza od różnicy między 6-ciokonną karocą, którą Talleyrand podążył na Kongres Wiedeński, a tysiąco-konnymi bombowcami, którymi Eden i Cordell-Hull spieszyli na Konferencję Moskiewską.

Jeżeli jednak postawić tezę wolności wyborów każdego ustroju z wyjątkiem faszystowskiego, co w praktyce równa się obowiązkowi wyboru jedynie demokracji, narzuca się w pierwszym rzędzie konieczność bardzo ścisłego określenia, co pod pojęciem faszyzmu i demokracji rozumiemy.

Kiedy Brytyjska opinia protestuje przeciw wypuszczeniu z więzienia faszysty Mosley'a, wiemy o co jej chodzi. Wiemy, że drugorzędną dla niej jest sprawa koloru koszuli, jaką Mosley chciał wprowadzić, a rzeczą istotną — treść organizacji życia, którą chciałby narzucić, treść, niosąca ograniczenie wolności jednostki i społeczeństwa. Gdy jednak słyszymy ataki na faszyzm ze stron, gdzie wolności tej nie ma, musimy zadać sobie pytanie, czy stoimy tu w obliczu pomieszania pojęć, faryzeuszostwa, czy też jakiejś szczególnej drobiazgowości, która wartość danego wytworu każe mierzyć nie jego właściwościami, lecz etykietą: etykieta berlińska powoduje konfiskatę; wystarczy etykietę zmienić, a miejsce konfiskaty zajmuje reklama.

Zbędny byłoby dowodzić, że jeśli walka z faszyzmem ma być naprawdę skuteczna, musi ona oznaczać *odcięcie się od wszelkiego totalizmu*; niezależnie od tego, czy występuje on w krótkich butach i brązowej koszuli, czy boso i bez koszuli; i niezależnie od tego, czy totalizm ten zrodziły napastnicze, lub obronne motywy, czy zrodził go zaborczy rasizm niemiecki, napuszony imperializm Mussoliniego, czy kapitulacjonizm Vichy. Nie forma, lecz treść winna decydować.

Ten pierwszy i główny warunek skutecznej walki z faszyzmem wielce komplikuje zagadnienie. Kto wie, czy tutaj nie leży jedna z przyczyn, dla których dziecinnie prosty, wydawałoby się, dylemat bezpiecznego przeprowadzenia na brzeg lepszego życia wielkiej Trójki i jej mniejszych Sprzymierzeńców, rozwiązywany jest tak niesporo. Nie jest to przytem trudność jedyna.

Jeżeli zasada walki z totalizmem ma święcić triumfy nie tylko na papierze, musi być ona uzupełniona efektywną, dysponującą sankcjami, kontrolą. Z zasadniczego punktu widzenia jest to teza do przyjęcia. Każdy człowiek jest upoważniony, więcej — ma obowiązek wytrącenia pochodni z ręki z ręki podpalacza. Dlaczego więc to prawo i ten obowiązek nie miały być udziałem społeczności międzynarodowej w stosunku do tych jej członków, którzy, igrając we własnym domu płomieniem faszyzmu, grożą wszystkim sąsiadom pożogą? W praktyce jednak ta dobroczynna napozór interwencja w cudze sprawy mogłaby przybrać całkiem niedobroczyne formy: włamywania się do cudzych domów pod pozorem gaszenia pożaru. Wystarczyłby pretekst najmniejszej nawet iskierki, aby gorliwi strażacy znaleźli się na miejscu z toporami i sikawkami. I jak to czasem przy nadmiernej gorliwości się zdarza: ogień nie naruszył niczego; wszystko zniszczyła woda.

Nasuwa się tu odrazu myśl powierzenia antyfaszystowskiej służby bezpieczeństwa szczególnie zaufanej policji. Takiej, jak policja angielska, która bez zezwolenia władzy sądowej wdrze się do cudzego domu tylko wtedy, gdy ten stoi już niewątpliwie

w płomieniach. Rozważenie tej możliwości przekroczyłoby ramy niniejszych wywodów. Trudno jednak już tutaj nie zwrócić uwagi na jedno poważne niebezpieczeństwo. Tego rodzaju policja misiałaby być międzynarodowa nie tylko z przeznaczenia, ale i z pochodzenia. Do takiego zaś mieszanego towarzystwa łatwo mogliby się wkręcić pod osłoną przeciwpożarnych mundurów zawodowi podpalacze.

Ważniejsza jednak od tej przestrogi jest istota sprawy, która polega na tym, że najidealniejsza nawet siła policyjna sama nie zapobiegnie przestępstwom. Dobro nie rodzi się na rozkaz i zło na rozkaz nie ginie. Podobnie, upowszechnianie demokracji i wytepienie faszyzmu jest w dalekiej dopiero instancji zagadnieniem policyjnym. W pierwszym rzędzie jest to zagadnienie stworzenia takich organicznych warunków życia na świecie, stworzenia takiej atmosfery, w której demokracja musiałaby się rozwijać, a totalizm — ginać.

Stworzenie takiej atmosfery zależy przede wszystkim od wielkich tego świata. W tej dziedzinie nikt im nie odmówi prawa leadershipu. Doświadczenie zaś uczy, że brak ambicji wielkich tego świata w tej mierze ma skutki katastrofalne. Jeżeli np. teza Talleyranda nie wytrzymała próby życia, to stało się tak w dużym stopniu właśnie dlatego, że próbom oparcia stosunków wewnętrznych państw Europy na prawie, towarzyszyło oparcie rusztowania całej struktury europejskiej na przemoc, ubranej w szaty Świętego Przymierza — porozumienia Wielkiej Trójki trzech cesarzy.

Twierdzi się czasem, że ta struktura przetrwała jednak długo. Zapomina się natomiast, że załamała się ona z trzaskiem proporcjonalnym do długości trwania. Nie wnikając w to, że skutki katastrofy przeżywamy jeszcze dzisiaj, wystarczy powiedzieć, że dla całej Wielkiej Trójki, która chciała bezpiecznie dopłynąć do brzegu lepszego życia, przeprawa skończyła się tak, że nie można gorzej: koza zjadła kapustę, a wilk udławił się kozą.

Marceli Karczewski.

EKSPANSJA I ASYMILACJA

(dokończenie z numeru poprzedniego)

Ale gdyby nawet wogóle w XVIII wieku nie było rozbiorów, to i tak żywioł polski nie byłby w stanie opanować językowo całego obszaru dawnej Rzeczypospolitej. To też nauczeni doświadczeniem, nie zamierzamy się pchać na wschód. Bronimy granicy ustalonej w Rydze i wiemy, że obszary na wschód od tej granicy nie są terenem naszej ekspansji, a wogóle jesteśmy dalecy od imperializmu. Chcemy szanować prawa wszystkich narodów, nie chcemy nikomu uniemożliwiać rozwoju kulturalnego i zdajemy sobie sprawę, że najpiękniejszą formą ekspansji jest ekspansja duchowa.

Sięgając jeszcze do naszej przeszłości musimy stwierdzić, że ekspansja żywiołu polskiego kierowała się nie tylko na wschód, ku żyznym ziemiom Ukrainy. Polskość szła także na południe, wkraczając przez bezludne lasy karpackie na Spisz i Orawę, a posuwała się także ku północy, na obszarze dzisiejszych Prus Wschodnich. Ten odcinek naszej ekspansji tymbardziej zasługuje na uwagę naszych historyków, że — jak wiadomo — żywioł polski nie był tu wspierany przez polską administrację. Prusy Książęce (tak się dawniej nazywały Prusy Wschodnie) były wprawdzie przez paręset lat lennem Polski, ale był to związek luźny, a wpływ Polski na rządy w tym kraju był nikły, względnie nie był wykonywany. Tymbardziej zatem należy podziwiać prężność i

siłę żywiołu polskiego, który posuwając się z Mazowsza zdołał zdobyć poważną część Prus Wschodnich. Twarde było panowanie Krzyżaków, ciężko było pod panowaniem brandenburskich elektorów, a jednak Polacy skolonizowali, jak dziś jeszcze wykazują nazwy miejscowości, spory szmat ziemi.

Warto podkreślić, że ekspansja osiąga często największe wyniki na obszarze stykania się dwóch innych narodów, niejako na "szwach" dwóch terytoriów językowych. Innymi słowy, naród rozrastający się wciska się między dwa inne narody, rozdzielając je. Tak Niemcy, kolonizując Śląsk, oddzielili Polaków od Czechów. Polacy znowu oddzielili Litwinów od Białorusinów.

Ekspansja nie jest równomierna, ani w przestrzeni ani w czasie. To znaczy nie jest jednakowo intensywna na wszystkich odcinkach granicznych i we wszystkich stuleciach. Ekspansja narodu polskiego kierowała się głównie ku południowemu wschodowi. Dużo krwi polskiej wsiąkło w ziemie ruskie, dużo Polaków utonęło w obcojęzycznym morzu. Ten kierunek ekspansji jest tymbardziej znamieny, że właśnie ziemie ruskie były terenem częstych a niszczących napadów tatarskich i krwawych wojen z Turkami lub Rosjanami. A jednak żywioł polski

pechał się ku tym trochę cieplejszym a bardzo urodzajnym ziemiom, zaniedbując niestety ekspansję ku północy, ku Bałtykowi.

Dawniej ziemia była głównym magnesem i kolonizacja rolna powodowała najdonioślejsze i najtrwalsze przemiany językowe. Od końca ubiegłego wieku w niektórych krajach większą rolę odgrywa przemysł. Miasta przemysłowe wywierają ogromnie silny wpływ na okoliczne wioski, gdyż rolnik częściej do miasta zagląda i więcej w nim kupuje niż w dawnych wiekach. To też nieraz się zdarza, że pod wpływem miasta okoliczne wioski wynaradawiają się. Mam na myśli oczywiście wielkie miasta przemysłowe, gdzie napływ inżynierów, majstrów, wykwalifikowanych robotników i urzędników stwarza silne a bardzo uświadamione pod względem narodowym ośrodki.

Przemysł jest nieraz silniejszym magnesem niż rolnictwo.

Nie wydaje mi się, żeby można to było tłumaczyć tylko przejściową nieopłacalnością pracy na roli. Rzecz znamienita, że w pogoni za dobrą płacą, robotnik wędruje nieraz bardzo daleko, poza granice własnego kraju. Do północnej Francji wyjechało znacznie więcej Polaków niż np. na Wołyń. Coprawda przeciwko takiemu zestawieniu możnaby wysunąć to, że zupełnie inna stopa życiowa i możliwości gospodarcze były we Francji, a inne na Wołyniu. Być może, że np. wielka akcja osuszania błot i wyzyskiwania innych nieużytków (bo nie chcemy wydzierać ziemi chłopom ukraińskim czy białoruskim) zwiększyłaby wędrowną ludź na wschód. Nie można jednak zapominać, że w ubiegłych dwóch dziesięcioleciach ograniczenia paszportowe były niemal powszechne. Jeśli ich kiedyś nie będzie i jeśli komunikacje zostaną jeszcze bardziej udoskonalone, czyż nie będziemy wtedy świadkami ekspansji (wciąż mam na myśli pokojowy, dobrowolny ruch ludności) niektórych narodów poprzez lądy i morza, niejako skokami to znaczy, z ominięciem terenów najbliższych. Oczywiście taka ekspansja oznacza dla narodu zazwyczaj poważną stratę, gdyż rzadko się zdarza, by grupy oderwane od kraju macierzystego zdołały przez dłuższy czas zachować swą narodowość. Naród rozwijający taką ekspansję (jeśli to można tak nazwać) słabnie, a potężnieje inny naród, który asymiluje.

Grupa słabsza liczebnie zazwyczaj ulega asymilacji. Ale nie zawsze tak bywa. Np. w Kanadzie Francuzi byli przez dłuższy czas liczniejsi od Anglików. Mimo to Anglicy nie zasymilowali się. Gdy naród rządzący góruje bezspornie kulturą lub siłą gospodarczą, wtedy asymiluje nawet daleko liczniejsze grupy obcojęzyczne.

Niektóre narody nie chcą asymilować innych grup ze względów rasowych. Najdalej w tym kierunku posunęli się Niemcy, doprowadzając swe teorie do absurdu. Ale i w innych krajach niektóre przejawy asymilacji mają zaciętych przeciwników. Dość wskazać na stosunek do Japończyków lub Murzynów w niektórych społeczeństwach białej rasy.

W Niemczech pojawiła się nowa teoria, mająca wytłumaczyć te wielkie zmiany, jakie się dokonały we wschodniej części Rzeszy. Wstyd Niemcom się przyznać, że mają w swych żyłach dużo "małowartościowej" krwi słowiańskiej. Więc wypierają się, jakoby mieszały się ze Słowianami na wielką skalę. Ale w takim razie powstaje pytanie, czy nie wytępilli ich ogniem i

mieczem. Takie wyjaśnienie też jest niewygodne dla Niemców, bo chcą — nawet teraz — uchodzić za ludzi humanitarnych i tolerancyjnych. Więc pojawił się trzeci sposób wyjaśniania zniknięcia poważnej części zachodnich Słowian. Mianowicie mieli oni sami wymrzeć, zepchnięci na gorsze grunta lub do odległych zakątków, wśród błot, jezior i lasów. Żyjąc w gorszych warunkach materialnych jakoś słabli liczebnie, wymierając coraz bardziej. W ten sposób ani się nie zmieszali z "wyższą" rasą germańską, ani nie zostali krwawo wytępilli, a jednak zniknęli i niema ich już zupełnie.

Bardzo przejrzysta i tendencyjna teoria!

W rzeczywistości, jak wiemy niema narodów czystych rasowo a Niemcom do tego bardzo daleko. Z narodów europejskich każdy ma obfitą domieszkę krwi obcej. Mieszanie się narodów nie powoduje ujemnych skutków, o ile nie wchodzi w grę ludy zbyt odmienne od siebie i o ile asymilacja nie odbywa się wielkimi masami a zbyt pośpiesznie.

Naród, który wyrzuca obce żywioły, czasem wyrządza sobie dużą szkodę, bo wzmacnia przeciwnika. Np. wypędzenie Hugonotów z Francji spowodowało ożywienie handlu i przemysłu w niektórych krajach niemieckich, do których się schronili wypędzeni. Ewangelicey emigranci z Salzburga przyczynili się do wzmocnienia niemieczyzny w Prusach Wschodnich w XVIII wieku.

Za Łokietka silny był antagonizm do Niemców, którzy nieraz byli czymś w rodzaju "piątej kolumny" (bunt wójta Alberta). Ale nie ulega wątpliwości, że gdyby np. Kazimierz Wielki wstrzymał kolonizację i wypędził wszystkich Niemców (którzy się później spolszczyli), to najprawdopodobniej rozwój gospodarczy Polski byłby trochę powolniejszy, natomiast szybszy byłby rozwój państwa Krzyżaków, bo zapewne tam skierowałyby się części emigracji niemieckiej.

Z drugiej zaś strony nie ulega wątpliwości, że napływ obcej ludności z sąsiedniego państwa wytwarza niebezpieczne sytuacje. Przykładem może być historia Czech, gdzie parę razy w ciągu historii, żywioł niemiecki zagarniał władzę i gdzie pewne graniczne obszary opanował całkowicie, tworząc tam ponad 90 proc. ludności.

Jak przy wielu innych problemach, tak i tu najważniejsze jest znalezienie właściwej miary. Szkodliwa jest bezwzględna ekskluzywność w stosunku do innych narodów, ale równie szkodliwa i niebezpieczna jest obojętność wobec obcej imigracji i mieszania się narodowości.

Naogół biorąc procesy asymilacyjne, które się odbywały na naszych ziemiach, nie spowodowały pogorszenia typu Polaka. Z dumą stwierdzamy nieraz, że z grup i z ziem ongiś językowo niepolskich wyszło wielu wybitnych i zasłużonych patriotów. Przejściowo na skutek polskiej ekspansji i asymilacji dokonywały się dość znaczne przesunięcia i przemiany. Np. za Jana Kazimierza koła rządzące, najbardziej politycznie aktywne, niewątpliwie różniły się od tej szlachty, która nadawała ton życiu polskiemu za Łokietka. Bywały okresy, kiedy panowie z Ukrainy znaczyli więcej niż Wielkopoleanie. Wnieśli oni oczywiście inne cechy charakteru, inne wady i zalety, co naturalnie zaznaczyło się w naszych dziejach. Ale to były okresy przeje-

POWIEŚĆ TATRZAŃSKA DLA DZIECI STARSZYCH

"POJEDNANIE"

H. Zakrzewskiej

Cena 7/0

SKŁADNICA KSIĘGARSKA

8 HOPE STREET, EDINBURGH.

ściowe. Dzisiejsza Polska w jej obecnych granicach, jest obrazem względnej równowagi. Ani nie jest ściśle zachodnią, ani nie zapowiada się przewaga wschodnich "kresowców." Państwo nasze jest połączeniem Polski Piastowskiej i Jagiellońskiej. Nie przekreśla żadnej tradycji, nie może być dowolnie przesuwane, nie może być po tylu ciężkich stratach w ostatnich stuleciach — znowu pomniejszone i okaleczone.

Tysiąc lat zawiłych procesów ekspansji i asymilacji w Polsce w ogólnym bilansie wykazuje więcej korzyści niż strat. Jeden z historyków oblicza, że w chwili koronacji Łokietka (r. 1320) państwo polskie obejmowało 115.300 kilometrów kwadratowych

i około 700 tys. mieszkańców. Na początku panowania Kazimierza Wielkiego na obszarze wszystkich ziem polskich żyło około półtora miliona ludzi.

We współczesnej Europie zajmujemy większy obszar i większy stanowią odsetek ludności. Mogliśmy być jeszcze silniejsi, dużo ziem nam wydarli Niemcy, lecz bądź co bądź wyniki nie uprawniają do pesymizmu. Pamiętajmy jednak, że nasze postępy zawdzięczaliśmy głównie wzniosłym ideom i szczytnym zasadom, które i dzisiaj powinniśmy reprezentować.

Stanisław Sopicki.

STOSUNSKI POLSKO—UKRAIŃSKIE

W ŚWIELE POGLĄDÓW Ś.P. WŁODZIMIERZA CELEWICZA

Zamieszczając poniższy artykuł redakcja "Jutra Polski" zaznacza, że stanowisko i koncepcje w nim zawarte nie są wyrazem poglądów redakcji, ani też żadnej polskiej grupy politycznej. Zamieszczamy wspomnienie o ś.p. Celewicz jako ciekawy przyczynek do historii ukraińskiej myśli politycznej w Polsce.

W celi więziennej w Moskwie spotkałem dr. Włodzimierza Celewicza wiceprezesa UNDA, niegdyś prezesa tej partii, byłego redaktora największego organu ukraińskiego w Polsce "Diło" głównego filara ugodowego kierunku w polityce ukraińskiej wobec Polski, posła do Sejmu R.P.

Celewicza znałem jeszcze z kraju. Przyjeżdżał on czasem do Brzeżan na wakacje, gdzie spotykałem go często na plaży nad stawem. Po raz ostatni przed wojną widziałem go na stacji Łyczaków pod koniec sierpnia 1939. Gdyby mi wtedy ktoś powiedział, że spotkam go znowu w Moskwie, w bolszewickim więzieniu, sądziłbym, że mam do czynienia z człowiekiem umysłowo chorym. Patrzyliśmy wtedy wszyscy na Zachód i nikt z nas nie przypuszczał, że otrzymamy cios w plecy. To, co jeszcze w pierwszych dniach września zdawało by się nam kiepskim żartem, w kilka tygodni później było ponurą rzeczywistością i zamiast umówionych między wieloma radosnych spotkań po zwycięstwie nad Niemcami na paradyście Unter den Linden spotykali się ludzie w więzieniach i obozach, rozproszonych na całej przestrzeni imperium rosyjskiego.

Z Celewiczem przesiedziałem w jednej celi przeszło pół roku. Wiele czasu spędziłem z nim na rozmowach o stosunkach polsko-ukraińskich, poznałem dobrze jego duchową sylwetkę i zaprzyjaźniłem się z nim bardzo blisko. Kierując się chęcią wypełnienia chociaż w części jego prośby (zawsze mawiał, że ja jeszcze wrócić do kraju i że dane mi będzie widzieć tych, którzy byli mu najbliżsi) piszę to wspomnienie starając się możliwie wiernie zreferować tok jego myśli. Jego poglądy nie pokrywają się jednak z moim stanowiskiem.

Celewicz rozumiał dobrze, że utworzenie państwa ukraińskiego tylko na ziemiach polskich jest niemożliwością. Ukraina taka miałaby wrogów w obu sąsiadujących z nią państwach Polsce i Rosji. Rosja w obawie utraty Ukrainy, dążyłaby do likwidacji tego państwa, Polska zaś starałaby się ziemię tę również odzyskać dla siebie. Kto wie — mówił — czy Rosja i Polska nie porozumiałyby się nawet i nie współdziałały w tym kierunku. Jako państwo słabsze od Polski i Rosji, Ukraina musiałaby ulec. To też Celewicz był politykiem, który myślał o sprawie ukraińskiej nie w galicyjskiej i wołyńskiej skali, a w skali wielkiej Ukrainy...

Momentem bardzo odpowiednim do stworzenia wielkiej Ukrainy — jego zdaniem — był okres rewolucji w Rosji. Gdyby — mówił — w r. 1918–20 galicyjska armia ukraińska zamiast walczyć z Polską, poszła na wielką Ukrainę i razem z Petlurą uderzyła na bolszewików, niepodległość Ukrainy stała by się faktem. Ukraińcy galicyjscy jednak nie myśleli wtedy rozmiarami całej swej wielkiej ojczyzny i zamiast rzucić swe siły przeciwko najgroźniejszemu przeciwnikowi, zaplątali się niepotrzebnie w wojnę z Polską. Dlatego też Celewicz uważał wojnę polsko-ukraińską 1918–20 za wielkie ukraińskie nieszczęście narodowe.

Utworzenie państwa ukraińskiego, zdaniem Celewicza, zawsze było możliwe i później — przy pomocy Polski, przyczym stawiał Celewicz tezę, że utworzenie Ukrainy leży w interesie Polski. . . . "Zyskalibyście tedy tylko lepszego sąsiada." Zapytany przeze mnie, jak on sobie wyobraża dobrosąsiedzkie stosunki Ukrainy z Polską, skoro Ukraińcy wciąż zgłaszają terytorialne pretensje do Polski niemal po Kraków i Warszawę, Celewicz w długim wywodzie tłumaczył mi, że gdyby Ukraina powstała w granicach dzisiejszej Sowieckiej Republiki Ukraińskiej, byłaby ona państwem tak silnym, że posiadanie ziem, należących do Polski nie byłoby dla niej zagadnieniem żywotnym. "I bez tych ziem byłaby ona wielkim i bogatym państwem." Współpracę Polski z narodem ukraińskim wyobrażał on sobie w ten sposób, że Ukraińcy zrezygnują z ziem należących do Polski, a Polska za to pomoże im zbudować państwo ukraińskie na wschód od Zbrucza. Szedł przy tym Celewicz tak daleko, że uważał za rzecz zupełnie możliwą opuszczenie przez Ukraińców terenów należących do Polski na drodze wymiany ludności. "Na terenie Galicji — mówił — żyje najbardziej uświadomiona i najlepiej przygotowana do pracy państwowej część narodu ukraińskiego. Gdyby doszło do porozumienia polsko-ukraińskiego, inteligencja, młodzież, armia i w ogóle bardziej wartościowe elementy ukraińskie odpłynęłyby na Ukrainę naddnieprzańską i stworzyłyby kadry organizacyjne państwa ukraińskiego. Kadry te z uwagi na to, że na Ukrainie naddnieprzańskiej nie ma ich wiele albo wcale, stałyby się elementem spajającym nowe państwo. Ukraina — ciągnął dalej — ma tyle ziem wolnych, że emigracja ta nie wywołałaby żadnych trudności, zwłaszcza, że proces emigracji Ukraińców z Galicji na Ukrainę szedłby w parze z odpływem Rosjan, których na ziemiach ukraińskich jest sporo, do Rosji." Przesiedlenia te, zdaniem Celewicza, miałyby także tę drobną stronę, że stworzyłyby zdrowe podstawy współpracy Polski i Ukrainy, znikłyby bowiem tereny narodowościowe mieszane i granica polsko-ukraińska stałaby się trwałą. "Życiową konie-

cznością Ukrainy — mówił — jest sojusz z Polską to też dla tego celu nie trzeba się bać wyrzeczeń.” Zdawał on sobie oczywiście sprawę, że koncepcja ta nie była wiarą ani polskich ani ukraińskich, nie tracił jednak nadziei, że naród ukraiński zbuduje w przyszłości państwo własne w ramach tej a nie innej koncepcji.

Polacy — mówił — pod wpływem idei nieinterwencji na wschodzie i trwałego pokoju z Rosją nie myśleli o jej zrealizowaniu, Ukraińcy zaś byli opanowani ciasnym prowincjonalnym nacjonalizmem i niechcieli pójść na współpracę z Polską.

“Oskarżano mnie często w kraju — mówił — że poszedłem na ugodę z Polską. Nie rozumiano mnie. Nie rezygnowałem nigdy z niepodległości Ukrainy, widziałem jednak jej odbudowanie w innej niż moi rodacy płaszczyźnie. Moja koncepcja była znacznie szersza. Polska w niej była nie wrogiem Ukrainy a sojusznikiem, i dlatego poszedłem na współpracę z Polską.”

W r. 1938 Celewicz nawiązał kontakty z polskimi kołami politycznymi w Warszawie i na jakimś zebraniu wyłożył koncepcję swoją Polakom. Słuchali go z zainteresowaniem, ale i rezerwą równocześnie.

Niemcom Celewicz nie wierzył. Uważał, że popierają oni Ukraińców tylko koniunkturalnie dla przeciwwagi Polsce i jego zdaniem, gdyby Niemcy obaliły na trwałe Polskę, starałyby się zniszczyć także i Ukrainę. “Po zwycięstwie nad Polską — mówił Celewicz — Niemcy wcale nie pójdą na budowanie państwa ukraińskiego. Jeśli kto o tym w narodzie ukraińskim marzy, to się zawiedzie.” Dlatego też, choć wojna polsko-niemiecka odsunęła daleko w przyszłość projekty odbudowy Ukrainy przy pomocy Polski, w 1939 r. Celewicz wyraźnie opowiedział się za udziałem narodu ukraińskiego w wojnie przeciwko Niemcom po stronie Polski.

W r. 1939 już w okresie wojny Celewicz przebywał we Lwowie. Sytuacja jego była niezwykle trudna. Było widoczne, że Polska zostanie pokonana. Elementy pro-niemieckie w UNDZIE podniosły znowu głowę. Zanosilo się na zmianę polityki partii. Część Komitetu Politycznego UNDA z posłem

Baranem na czele zaczęła wyraźnie myśleć o zmianie orientacji. Celewicz jednak wytrwał na swym stanowisku do końca. Gdy Lwów opuszczała nasza generalicja, zaproponował, by zabrano i jego z rodziną, nie zrobiono jednak tego. A wielka szkoda, bo gdyby Celewicz znalazł się tu na emigracji niewątpliwie mielibyśmy w Radzie Narodowej poważnego reprezentanta Ukraińców. Stało się inaczej. Celewicz został we Lwowie i po paru dniach aresztowano go.

W więzieniu w stosunku do Polski Celewicz zachowywał się bardzo lojalnie. Współwięźniowie nieprzychylni Polsce, pragnęli się coś dowiedzieć bliższego o naszych stosunkach. Mnie nie wierzyli “to polski oficer nawierno wriot.” Zwracali się więc do Celewicza. Jego uwag chętnie słuchali. Jakież jednak było ich rozczarowanie, kiedy powiedział im, że w Polsce nie było tak bardzo źle jak oni sądzą, że “gniot” polskiego nacjonalizmu, o którym tyle mówią, choć dla Ukraińców nie był miły, to jednak nie niszczył podstaw kulturalnego i gospodarczego rozwoju narodu ukraińskiego i że swobody ukraińskie w Polsce były znacznie większe, niż w sowieckiej ukraińskiej republice. “Było życie polityczne, były spółdzielnie, były szkoły, drukowano i wydawano książki, nie było przymusowych wysiedleń. A jakie swobody ma naród ukraiński w Rosji? Życie polityczne poza partią komunistyczną, która służy celom rosyjskiego imperium, nie istnieje. Życie gospodarcze jest domeną państwa, skutkiem czego w zagłębiu Donbas Rosjanie mają absolutną większość, a na całej Ukrainie wyższe stanowiska obsadzone są przez Moskali. W Kijowie i Charkowie więcej się dziś słyszy mowę rosyjską niż ukraińską. Szkolnictwo wprawdzie jest ukraińskie, ale tylko z języka, z ducha i treści jest rosyjskie. Dzieci ukraińskie uczone są cześć tradycje Piotra Wielkiego, który na kościach kozaków ukraińskich pobudował Petersburg. W Polsce, jeśli uczono w szkole po ukraińsku, to w naukę tę ukraińscy nauczyciele wkładali ukraińską treść. Książki i gazety są na Ukrainie dopuszczane, ale pisać można tylko to, co centralnemu rządowi w Moskwie się podoba. W Polsce zaś można było pisać także i to, co rządowi się niepodoba. W Polsce, gdy zakazano pobytu w pasie granicz-

Z MYCH WSPOMNIENI

Pierwszym jawnym propagatorem tak zwanego “ naukowego socjalizmu ” był w Warszawie Ludwik Krzywicki. Nie brał on udziału w pracach konspiracyjnych. Natomiast usilnie zachęcał młodzież uniwersytecką do studiowania dzieł Marksa i Engelsa. A sam w artykułach umieszczanych stale w tygodniku “ Prawda ” rozwijał i uzasadniał doktrynę materializmu dziejowego i walki klas jako naczelnego motoru dziejów ludzkości, teorię nieuchronnej koncentracji kapitałów i nieuniknionego zaniku rzemiosła, i drobnego handlu i drobnej gospodarki chłopskiej, wartości i nadwartości według nauki Marksa. Wszystkie te jego artykuły były cenzuralne. Unikał w nich słów niebezpiecznych: jako to “ socjalizm,” “ rewolucja,” “ wywłaszczenie.” Często natomiast dawał pouczające opowieści o życiu gospodarczym i kulturalnym już to pierwotnych ludów, już też krajów przodujących w rozwoju nowoczesnego kapitalizmu. Nieraz później zastanawiałem się nad tym, co mogło skłonić redaktora “ Prawdy ” — Aleksandra Świętochowskiego, świetnego orędownika liberalizmu, ceniącego nade wszystko wolność myśli działania oraz indywidualną twórczość — do wejścia w ścisłą literacką współpracę z teoretykiem nawskroś antyliberalnej doktryny marksowskiej. Sądzę, że działały tu dwa motywy. Przede wszystkim jedną Świętochowskiego dla prowadzonej przez Krzywickiego propagandy marksizmu — zachodnio-europejskość “ naukowego socjalizmu.” To było jednak coś zupełnie różnego od przenikających od kilku

lat do naszej młodzieży uniwersyteckiej rosyjskich prądów socjalistycznych. Przynosili je częściowo przybywający na uniwersytecie warszawski studenci Rosjanie, choć naogół Polacy trzymali się zdala od nich. Ale część młodzieży polskiej nie tylko pochodzącej z tak zwanych “ zabranych prowincyj,” t.j. ziem oderwanych od Rzplitej podczas rozbiorów, lecz i z Królestwa studiowała w wyższych zakładach naukowych Cesarstwa i na uniwersytetach rosyjskich przyswajała sobie rosyjski sposób pojmowania socjalizmu, mniej lub więcej zawsze nihilistyczny i buntarski, w którym negacja całej dotychczasowej cywilizacji, wszelkich istniejących autorytetów i wszystkich dziejowych tradycji — górowała olbrzymio nad jakimikolwiek konstrukcyjnymi planami. Świętochowski mógł widzieć najlepsze antidotum na te prądy wschodniej myśli rewolucyjnej, tak niebezpieczne dla naszej samodzielności cywilizacyjnej — właśnie w zachodnio-europejskim “ naukowym ” socjalizmie, uczącym pozytywnego stosunku do wszystkiego, co przyspiesza gospodarczy postęp kraju, a w szczególności przemysłowy jego rozwój, gdyż tylko pełny rozwój kapitalizmu stworzy należyte podstawy dla całkowitej przemiany ustroju społecznego. Zgola inny był uczuciowy stosunek do fabrykanta Prusa i Świętochowskiego, niż Krzywickiego. Gdy pierwsi dwaj widzieli w nim pomnożyciela cywilizacyjnej siły narodu — ten ostatni uczył, że dochód jego pochodzi z wyzysku robotników. Ale pomimo to narówni z pierwszymi uważał działalność jego za pożyteczną, a nie szkodliwą — bo przyspieszającą chwilę triumfu socjalizmu. Był

nym kilkunastu Ukraińcom, podnieśliśmy protest, słyszany w całym świecie. Na Ukrainie zaś, gdy się wywozi setki tysięcy rodzin na Daleki Wschód nikt o tym w Rosji nie pisze, a zagranicą dowiaduje się tylko przypadkiem. Ukraińcy w Sowietach byłiby szczęśliwi, gdyby posiadali choć część tych swobód, które mieli w Polsce."

Dyskusje w tym tonie były prowadzone dość często. Celewicz nie entuzjazmował się stosunkami w Polsce, przedstawiał je często krytycznie, ale spokojnie, bez napaści i zacierzwienia. Robiło to wrażenie na Moskalach, którzy spodziewali się usłyszeć z ust Celewicza potępienie Polski. Doszło raz nawet do takiej sytuacji, że w dyskusji jeden z Moskali zaczął powątpiewać, czy Celewicz w ogóle jest Ukraińcem "wy nawierno Polak, Ukrainiec nie może etowo skazat." Propaganda rosyjska widocznie tak wbiła w ich umysły przeświadczenie o bezwzględnej wrogości Ukraińców wobec Polaków i wiarę w okrutny reżim polski na tak zwanej "Zapadnej Ukrainie," że nie mogli uwierzyć, by było inaczej.

Gdy przybyłem do więzienia na Łubiance Celewicz był jeszcze w dobrej formie duchowej i fizycznej. Bolszewicy przez jakiś czas traktowali go dobrze. Lepiej nawet niż innych więźniów. Codziennie przynosili mu specjalny obiad z dwóch dań,

przez długi czas dawali mu codziennie garnuszek kwaśnego mleka i papierosy. Zapewne liczyli jeszcze, że Celewicz może im się przydać, może chciałoby jakoś polityczniego wykorzystać. Celewicz był jednak człowiekiem prawym i twardym. To też po jakimś czasie przywileje te skończyły się. Pod koniec mego pobytu z nim szybko tracił siły i często powtarzał, że jeśli jeszcze pół roku posiedzi w więzieniu, będzie fizyczną ruiną i wolności już nigdy nie ujrzy.

Zabrano go z celi 22 grudnia 1940 na dwie godziny przedemną. Będąc w więzieniu na Butyrkach jednego razu w czasie kąpieli słyszałem głos jego z jednej z sąsiednich komórek. Wido- cznie i jego tam przywieźli. Potym nigdy go już więcej nie spotkałem.

W czasie mego pobytu w Kujbyszewie z akt Ambasady polskiej dowiedziałem się, że Celewicz dogorywał w Saratowskim więzieniu, skąd pomimo licznych polskich interwencji, bolszewicy wbrew układowi z 31 lipca 1941 nie chcieli go zwolnić. Celewicz zmarł, niedoczekawszy się światła wolności. W osobie jego zszedł dużej miary działacz polityczny, niezwykle prawy człowiek i szczerzy zwolennik zgodnego współżycia narodów polskiego i ukraińskiego.

SPÓR WŚRÓD NARODOWCÓW

Otrzymaaliśmy następujące uwagi:

W "Myśli Polskiej" z 15.XI.43 ukazał się artykuł p. M. Rojka p.t. Ich "dobre prawo," w całości poświęcony sytuacji wewnętrznej w Stronnictwie Narodowym.

Artykuł ten jest dobrym przykładem złych obyczajów, jakie zakradły się w nasze emigracyjne stosunki polityczne.

tu silny punkt styeczny marksizmu z liberalnym programem "pracy organicznej." Nie bunt, nie konspiracja — według obu tych doktryn — były właściwą drogą, wiodącą do lepszej narodowej czy społecznej przyszłości jeno postęp gospodarczy oraz rozwój rzetelnej wiedzy i myśli obywatelskiej nasamprzód wśród inteligencji, a następnie w najszerszych warstwach społeczeństwa naszego.

Krzywicki osobiście nie był dla mnie pociągającym. To też odbyłem z nim parę tylko rozmów na temat programu samokształcenia w kółkach gimnazjalnych. Pod jego jednak wpływem przestudiowałem dokładnie świeżo wówczas przetłumaczony na język polski pierwszy tom kapitału Marksa, jako też Manifest Komunistyczny Marksa i Engelsa. O ile jednak marksowska teoria wartości i nadwartości trafiła mi wówczas do przekonania — materializm dziejowy uznający w dziejach ludzkości jedynie motywy ekonomiczne wszelkich ruchów politycznych, religijnych i kulturalnych, budził silne we mnie wątpliwości. Poszedłem też o wyjaśnienie ich do Krzywickiego, o ile pamiętam pod koniec roku szkolnego 1889/90. Musiałem dyskutować mimo znacznie młodszego wieku uparcie i zawzięcie, Krzywicki bowiem zakończył rozmowę ostrą przestrogą, która wówczas wydała mi się niemal obelgą, a jednak dziwnie się okazała trafną: "Tak myśląc dojdziecie nie tylko do patriotnictwa, ale i do klerykalizmu." ("Patriotnik" w ówczesnym żargonie socjalistycznym oznaczał szowinistę i zacofańca społecznego.)

Zgoła odmiennym człowiekiem był naczelny redaktor tygodni-

— W długim wywodzie p. Rojek stara się wykazać, że pp. Seyda, Komarnicki St. Celichowski, członkowie Klubu Narodowego w Radzie Narodowej nie posiadają żadnego tytułu reprezentowania Stronnictwa Narodowego, że "sprzedali" oni gen. Sikorskiemu "pozory" udziału Stronnictwa Narodowego w rządzie, ten zaś "zapłacił" im

ka "Głos" Józef Potocki, pisujący pod pseudonimem Bohusz. Przyciągał on mnie silnie ku sobie całą swą mentalnością. I przyciągała mnie ku sobie cała atmosfera intelektualna redakcji "Głosu." W 1889 i 1980 r. "Głos" nie był organem jednolitego zespołu partyjnego. Raczej był on platformą dyskusyjną ludzi szukających nowych dróg pracy i walki wiodącej do odzyskania niepodległości narodowo-państwowej. Były wśród ówczesnych współpracowników "Głosu" pewne ustalone aksjomaty polityczne, a więc że sama praca organiczna nie doprowadzi nas do wyzwolenia spod przewagi państw zaborczych, że wszelka polityka ugodowa, zarówno propagowana podówczas przez wydawany w Petersburgu przez znakomitego adwokata Spasowicza tygodnik "Kraj," jak i prowadzona w zaborze pruskim przez Kościelskiego, a w Galicji przez "Stańczyków" jest zgubna i powinna być zwalczana, — że nieodzownym warunkiem odzyskania niepodległości jest pozyskanie dla walki o nią mas ludowych. Poza tym jednak w łonie redakcji "Głosu" ścierały się rozmaite poglądy.

"Bohusz" był raczej filozofem i socjologiem, niż politykiem. Przetłumaczeniem na polski kilkutomowej socjologii Spencera jako też i zarysu jego filozofii — wywołał on duże zainteresowanie wśród młodzieży angielskim "pozytywizmem" i nawskroś indukcyjną metodą jego badań zarówno zjawisk społecznych jak i naczelnym zagadnieniom funkcjonowania "wszechświata." Przyjmując za Spencerem tezę o ograniczoności naszego poznawania, które nie może wyjść poza nasze zmysłowe doświadczenie i bezpo-

za to "materialnie" tylko i że cała ich działalność jest politycznym "oszustwem." "W oszukańczej" tej robocie "odszczepieńców" wykluczonych dawno ze Stronnictwa Narodowego bierze "zarażony kłamstwem" rząd, który pomaga min. Seydzie oszukiwać kraj. "Stronnictwo — pisze p. Rojek — wysyła z kraju listy i depesze do reprezentacji Stronnictwa Narodowego w Londynie — ale rząd "albo wcale ich nie doręcza albo doręcza Seydzie. Tamci w Kraju . . . piszą i telegrafują do Bieleckiego, odpowiedzi zaś udziela im Seyda. Kto dziś fałszuje wolę znacznego odłamu społeczeństwa w zakresie sytuacji emigracyjnej, ten jutro może się zdobyć na sfalszowanie tej woli w skali krajowej, a pojutrze na sfalszowanie woli całości w skali międzynarodowej." Po tej godnej brukowego pisma poincie, a szkoda bo "Myśl Polska" w swoich początkach miała jednak pewien poziom, p. Rojek w długim prawnohistorycznym wywodzie stara się wykazać, że p. Bielecki jest reprezentantem kraju i "w jego ręce Stronnictwo Narodowe walczące w Kraju złożyło pełnomocnictwa co do tego jak krew przelana przez narodowców w walce z Niemcami ma ważyć w polityce polskiej w Londynie."

Nie będziemy analizować tu struktury organizacyjnej Stronnictwa Narodowego ani rozpatrywać kwestii, czy p. Dr. T. Bielecki ma pełny i wyłączny tytuł do reprezentowania Stronnictwa Narodowego. Nie będziemy również omawiać faktów, na które się p. Rojek powołuje. Są to czysto wewnętrzne sprawy Stronnictwa Narodowego i do omawiania ich — nie czujemy się powołani.

Ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że p. Rojek nie odpowiedział w artykule swym na zasadnicze zarzuty podniesione przeciwko polityce p. Bieleckiego w ostatnim numerze "Biuletynu Narodowego" i że wszystkie jego argumenty i "fakty" które przytaczamy na początku niniejszego artykułu, zostały specjalnie przez Prezydium Rady Ministrów — na podstawie otrzymanych z Kraju od

Stronnictwa Narodowego dokumentów — w oświadczeniu ogłoszonym w "Dzienniku Polskim" z 27.XI.43 publicznie zdementowane.

Wielkrotnie ważniejszą dla wszystkich sprawą nie jest kwestia, w czyich rękach prawo do reprezentacji Stronnictwa Narodowego na emigracji prawnie i formalnie spoczywa, a to kto merytorycznie reprezentuje stanowisko zajmowane przez Stronnictwo Narodowe w Kraju: p. Bielecki i "Myśl Polska" czy może Seyda i Towarzysze.

Przez długi czas odpowiedź na to pytanie była trudna. P. Bielecki przy każdej okazji wszystkich naokoło uroczystości zapewniał, że ma za sobą i swoją linią polityczną pełne, "murowane" poparcie S.N. w Kraju. — Min. Seyda — jakkolwiek w wystąpieniach swoich w tej mierze był zawsze umiarkowany, nigdy bowiem nie zaczął mandatu p. Bieleckiego do reprezentowania S.N., kwestionował to poparcie Kraju dla polityki p. Bieleckiego — powołując się w tej mierze na nadesłane drogą urzędową wiadomości od S.N. w Kraju.

Dopiero deklaracja czterech Stronnictw z dn. 15.VIII. br. ogłoszona w Polsce w prasie podziemnej — a później także i tu w Londynie sprawę tę zupełnie wyjaśniła.

Okazało się, że rząd obecny ma za sobą poparcie Stronnictw wszystkich w Kraju, że Stronnictwa te współpracują ze sobą w Krajowej Repr. Politycznej oraz z Delegatem Rządu na kraj, dalej, że wszystkie Stronnictwa zasadniczo zastrzegają się przeciwko każdej innej koncepcji rządu, szczególnie zaś wykluczają możliwość porozumienia się z elementami faszystowskimi i obciążoną odpowiedzialnością za okres przed wybuchem wojny Sanacją.

Z depeszy tej wynika, że formalny reprezentant S.N. na emigracji Dr. T. Bielecki zawisł w próżni. Idzie on bowiem akuratnie w kierunku odwrotnym, niż jego mandariusze w Kraju: zwalcza bezwzględnie rząd, przeciwny

średnio zeń płynące wnioski, tak iż jedyną ścisłą nauką odpowiedzią na pytania o pierwszych przyczynach i ostatecznych celach wszechświata i życia w nim jest: "nie wiemy i wiedzieć nie będziemy" (ignoramus et ignorabimus). — "Bohusz" mocno się przeciwstawiał zarówno filozofii materialistycznej, jak ateizmowi. Ateizm — mawiał — jest równie dowolną hlipotezą jak deizm. Ani jeden ani drugi nie da się ściśle naukowo uzasadnić. Można tylko wierzyć w Boga, albo nie wierzyć węż. Ale w całym dotychczasowym rozwoju cywilizacji potężnym czynnikiem postępu moralnego były religie deistyczne. Może ktoś wierzyć lub nie wierzyć — to sprawa jego osobistych uczuć. Ale nie należy zapoznawać wielkiej roli społecznej wierzeń religijnych i organizacji kościelnych. To też propaganda ateizmu jest naukowo nieuzasadniona, a społecznie szkodliwa.

Nie tylko jednak ze Spencerem zaznajamiał "Bohusz" młode nasze pokolenie. Zbierało się pod jego kierownictwem co kilka tygodni w redakcji "Głosu" na wieczorne pogadanki grono młodych adeptów socjologii. Byli to przeważnie studenci uniwersytetu, ale byli i starsi nieco (pod trzydziestkę) publicyści. Najmłodszym wśród nich byłem bodaj ja — ośmioklasista. Na tych zebraniach "Bohusz" zachęcał nas do studiowania współczesnych również socjologów francuskich: Fouillego i Tarda.

Nie pamiętam dokładnie wieku "Bohusza." Ale był niewątpliwie mimo dużej brody młodym jeszcze człowiekiem, poniżej czterdziestki. I miał niezwykle młodzieńczy zapał w dążeniu do prawdy, do zrozumienia istoty zjawisk. Gdy widział w młodszych

oddźwięk tych swoich intelektualnych ambicji — oferował odrazu dla nich przyjaźń. Jednym z najpiękniejszych wspomnień mej młodości jest też przyjaźń, jaką mnie darzył. Mieszkał na "czwartaku" (najwyższe wówczas kamienice w Warszawie były czteropiętrowe) w Alejach Jerozolimskich w tak zwanym "studenckim pokoiku." Było w nim wąziutkie żelazne łóżko, rzadko kiedy załane, stół z szufladą, cztery "wiedeńskie" krzesła, którym zawsze brakowało trochę nóg, pod łóżkiem dwie walizki z ubraniami i bielizną i moc książek na podłodze.

Niezwykle ściśle bystro myślący naukowo — Bohusz był w życiu codziennym zupełnie bezradny. Żył niemal jak anachoreta — a mimo to tonął w długach, bo nie umiał nikomu odmówić pożyczki choćby ostatniego rubla — a byli tacy, co tę jego dobroć pilnie wykorzystywali. Nieraz żalił mi się na lichwiarza, z którego sieci nie może się wydobyć. W tym mniej więcej czasie zjawiała się powieść Junoszy: "Pająki." W powieści tej muchą w sieci pajęczej był "dziedzic," co zanadto wierzył swemu pachciarzowi. "Bohusz" nie miał folwarku, jeno pióro, którym zarabiał, ale wysysał go równie bezlitośnie jeden z licznych wówczas w Polsce "pająków."

Nie było niemal tygodnia, żebym nie odwiedzał "Bohusza" w jego aż nazbyt skromnym mieszkanku dla nieraz parogodzinnych dyskusyj, w których, górując olbrzymio nademną wiedzą, nigdy jednak nie zbywał mych rozumowań pobłażliwym lekceważeniem, lecz starał się każdą moją myśl należycie oświecić i rozważyć. Oczywiście — nieraz mówiliśmy i o socjalizmie.

jest współpracy w ramach obecnej koalicji Stronnictw, współpracował w K.Z.O.N. z faszystującym O.N.R. i Falangą. Dziś współpraca ta częściowo się urwała — stało się to jednak nie z woli p. Bieleckiego a tylko dlatego, że jedno z tych ugrupowań Falanga samo K.Z.O.N. opuściło i nawiązuje bliskie kontakty z sanacją.

Polityka jego przestała więc być polityką S.N. a stała się wyraźnie jego własną — za którą pomimo że wciąż stara się pokrywać ją szyldem S.N. on tylko i nikt inny odpowiada. A contrario zaś stanowisko min. Seydy — jekkolwiek wciąż jeszcze nie posiada on oficjalnego mandatu reprezentowania S.N., gdyż ten nie został jeszcze p. Bieleckiemu cofnięty (powinno się to jednak w interesie samego S.N. stać jak najrychlej) zostało silnie wzmocnione. Okazało się, że min. Seyda słuszną linię obrał i linia ta została aprobowana przez Str. Narod. w Kraju. W świetle tej sytuacji staje się rzeczą jasną, że faktycznym przedstawicielem rzeczywistej woli Str. w Kraju — jest Min. Seyda i jego koledzy — i faktu tego żadne pomstowanie — "Myśli Polskiej" na "odszczepieńców," którzy wbrew woli legalnych władz i t.d., i.t.d. — tu nic nie zmienia.

Należałoby się spodziewać, że wobec wytworzonej sytuacji p. Bielecki zechce albo zawrócić z nieopatrznie obranej drogi względnie, że nie mogąc pogodzić się z linią zajęta przez swych mandatariuszy wyciągnie z tego faktu konsekwencje i rzeknie się dobrowolnie mandatu pełnomocnika. Nic podobnego jednak. Wbrew powszechnie przyjętym zasadom p. Bielecki uważa, że S.N. w Kraju złożony w r. 1939 w jego ręce pełnomocnictwo reprezentowania go zależne dziś jest od niego, że jest ono jakby w sytuacji nieboszczyka, który nie może już swojej ostatniej woli odwołać, a on jakby pełnoprawnym jego dziedzicem i wobec tego wydaje mu się, że S.N. w Kraju jego, a nie on Stronnictwa ma słuchać.

W ostatnim swym artykule w "Myśli Polskiej" w

przejrzystej dość formie sugeruje p. Bielecki, że deklaracja z 15.VIII.43 nie może być uważana za wiążącą, gdyż nie są znane motywy, dla których S.N. w Kraju złożyło na niej swój podpis. W wewnętrznym zaś biuletynie Str. Narodowego wydawanym na prawach rękopisu (nr. z listopada br.) już wyraźnie stwierdza się, że deklaracja Stronnictw nie obowiązuje i że "istnieje zasadnicza wątpliwość, czy tekst ogłoszony w "Rzeczypospolitej" został w tej formie podpisany przez rzeczywistych przedstawicieli S.N."

Jest to niewątpliwie próba wyjścia z kłopotliwej sytuacji — próba ratowania nadwężonego prestiżu autorytatywnego prezesa — który stracił "murowane" poparcie kraju a który pomimo to uparcie wciąż chce decydować o tym "jak krew przelana przez narodowców w walce z Niemcami ma ważyć w polityce polskiej w Londynie."

Wątpić jednak należy, czy ta uproszczona metoda kwalifikowania napływających wiadomości i depesz z Kraju jako fałszywych — wzgl. prawdziwych w zależności od tego, czy treść ich p. Bieleckiemu dogadza czy nie — może przekonać kogokolwiek kto poważnie myśli o sprawach politycznych.

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

BUCKINGHAM PALACE MANSIONS, BUCKINGHAM PALACE ROAD,
LONDON, S.W.1.

zawiadamia o wydaniu książki z serii:
Biblioteka Rzemiosła i Techniki No. 3

K. DYDYŃSKA-HENNEBERG
E. HORODYŃSKA

DRUK RĘCZNY NA TKANINACH

Str. 73

Cena 4/-

Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach i kioskach.

Bohusz nie odnosił się doń negatywnie. Przeczył jeno, by był on nieuchronną koniecznością dziejową i by właściwą dla urzeczywistnienia jego drogą była walka klasowa. Nie uznawał on też, by doktryna Marksa była bardziej "naukową" od francuskich i angielskich koncepcyj socjalistycznych pierwszej połowy XIX wieku. Motorem dziejów — mówił — są twórcze idee, a nie przemiany materialnych stosunków gospodarczych. Jedną z takich idei — jest socjalizm. Wielką będzie jego rola w dalszym rozwoju cywilizacji — jako ruchu ideowego, reformującego nasze pojęcia społeczno-moralne, ale wypaczyć go może nadmierne związanie z egoizmem klasowym. Temu stosunkowi do socjalizmu dał wyraz przez napisanie odezwy wzywającej społeczeństwo warszawskie do poparcia pierwszej, ogólnoeuropejskiej demonstracji pierwszo-majowej na rzecz ośmiogodzinnego dnia roboczego. Odezwę tą powieliłem przez całą noc na hektografie, a o świcie rozlepiłszy paręset jej egzemplarzy na murach warszawskich kamienie.

Życiowe warunki "Bohusza" polepszyły się na krótko — gdy się ożenił. Ale niedługo później wraz z całą niemal redakcją "Głosu" został aresztowany i w więzieniu stracił prawie zupełnie wzrok. Po odzyskaniu wolności — wyszedł pewnego dnia sam na miasto i przepadł bez śladu. Krążyły różne na ten temat wieści, to że go ponownie aresztowano i uśmiercono, to że wpadł do Wisły i utonął, ale nic pewnego nie stwierdzono.

Obok Józefa Potockiego najwybitniejszą postacią w redakcyjnym zespole "Głosu" był Jan Popławski. Był to jednak

człowiek zgola innego pokroju. Teorie filozoficzne i socjologiczne mało go obchodziły. Natomiast śledził pilnie za rozwojem realnych sił narodu i rozwojem tym starał się kierować, wskazując inteligencji właściwe drogi jej pracy społeczno-kulturalnej i propagandowo-politycznej. Rozwinął on w "Głosie" szeroki dział korespondencyj z kraju, a poza tym publikował liczne artykuły programowe, z których stawiał zręby nowej, różnej zarówno od socjalizmu jak i narodowego konserwatyzmu — ideologii narodowo-ludowej.

Umyślnie używam tu tego terminu: ideologii narodowo-ludowej, choć następnie została ona nazwana narodowo-demokratyczną. Najbardziej jednak charakterystyczną cechą społecznych poglądów Popławskiego na przełomie osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia był nie wywodzący się z francuskiej deklaracji praw człowieka i przejawiający się u nas przedewszystkiem w zwalczaniu "szlachetczyzny," przesądów rodowych i arystokracji demokratyzm — ale wiara w instynkt narodowy ludu włościańskiego, który należy się rozbudzony stanie się główną siłą, co Polskę wyzwoli. Dziś to się wydaje takie proste, samo przez się zrozumiałe, że patriotyzm naszego ludu jest najsilniejszą podstawą naszego bytu narodowo-państwowego. Ale pięćdziesiąt trzy lata temu masa chłopska w Królestwie zdawała się być raczej ostoją carskich rządów niż polskich dążeń wolnościowych.

Toć nawet Żeromski w swej "Wiernej Rzece" przedstawia gromadę chłopską w zdecydowanie wrogiej wobec powstańców

CO TO ZNACZY?

W broszurze swej "Albo — albo" p. Mackiewicz napisał: "Wobec grożących nam zmian wzywam do jasnego sformułowania celów polityki polskiej w chwili obecnej. Musimy wiedzieć czego chcemy, a nie możemy chcieć czego innego, jak tylko tego, aby zwycięstwo Anglii i Ameryki nad Niemcami było tak prędkie, aby wkroczenie wojsk sowieckich na polskie terytorium nie było potrzebne."

Jest to mocno spóźnione wezwanie. Nie czekając, aż p. Mackiewicz odkryje tę rewelacyjną prawdę, ś.p. generał Sikorski już przeszło rok temu nieraz i w niejednym miejscu wskazywał na doniosłość jaknajszybszego uwolnienia Polski z pod okupacji niemieckiej przez skombinowaną z działaniami wojsk anglo-amerykańskich akcję naszej armii krajowej.

O tem jednak, czy "wkroczenie wojsk sowieckich na polskie terytorium będzie potrzebne" decyduje od szeregu miesięcy o wiele bardziej od planów anglo-amerykańskich rozwój działań wojennych na froncie wschodnim.

Na innym miejscu tejże broszury p. Mackiewicz słusznie mówi pod adresem "Listów z Londynu": "Cóż z tego, że 'musimy żądać.' Można żądać tylko rzeczy, które w razie odmowy wymóc można. Gdybyśmy mieli 80 dywizyj, któreśmy swego czasu mieć mogli. Ale ich nie mamy." Więc p. Mackiewicz umie — gdy chce — realnie myśleć. Realny jednak polityk formułuje tylko takie cele polityki narodowej — dla zrealizowania których posiada należyte środki, gdyż albo sam ma potrzebną ku temu moc, albo też może uruchomić dostateczne siły swych sojuszników.

W pragnieniach naszych nikt bodaj z nas nie różni się od p. Mackiewicza. Ale każe on nam nie tylko pragnąć — każe i chcieć.

W takim razie jednak wolno każdemu z nas wezwać znów

jego, niech powie, jakie mamy jego zdaniem sposoby i siły dla przeprowadzenia tego naszego chcenia, które ogłasza on za naczelny cel polskiej polityki w chwili obecnej?

Bez wyjaśnienia tego, apel p. Mackiewicza jest jakimś dziwnie jatemnicznym niedopowiedzeniem.

Toć sam on powiada: "Gdybyśmy mieli 80 dywizyj — ale ich nie mamy." Czym więc chce on zastąpić te brakujące nam dla oddziałania na szybsze nad Niemcami zwycięstwo Anglii i Ameryki 80 dywizyj? A może to taka tajemnica, że jej ujawnić publicznie nie może? W takim razie jednak lepiej by było, gdyby zamiast proklamować w broszurze wezwanie, które nie wiadomo co oznacza, gdy nie są przy niem wskazane środki urzeczywistnienia go — zwrócił się on był do osób kierujących naszą polityką narodowo-państwową z poufnym memoriałem, w którym by im swą tajemnicę wyłożył.

Może by jednak już nie poufnie, ale publicznie zechciał p. Mackiewicz wyjaśnić, co znaczy tajemnicza jego aluzja, iż swego czasu mogliśmy mieć 80 dywizyj? Boć chyba nie dotyczy to września 1939 r. A potem — gdzie, kiedy?

Pełno w tem wszystkim niejasności, tajemniczych aluzji. Ale jedno jest w broszurze p. Mackiewicza niedwuznaczne, jasne. Niestety to jedno jest też niewątpliwie ogromnie szkodliwe.

Oto jego słowa:

"Albo — albo. Albo wojna skończy się rozbiciem Niemiec przez Anglię i Amerykę przedtem nim wojska sowieckie zajmą terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej . . . Albo wojna skończy się dla nas zapóźno, to znaczy już po wkroczeniu wojsk sowieckich na nasze terytorium i po okupacji przez Sowiety Polski w części lub całości . . . Wtedy będzie koniec."

Otóż nie — wtedy nie będzie koniec. Nawet w razie wkrocze-

pozyceji. Nie było to zupełnie zgodnie z historyczną prawdą. Mniej znacznie było faktów łapania powstańców przez chłopów, niż dostarczania przez nich prowiantu i amunicji kryjącym się w lasach "partiom" oraz ostrzegania ich przed ruchem wojsk rosyjskich. Bez życzliwej pomocy ogółu włościańskiego nie mogłoby być żadną miarą trwać dwóch lat powstanie nie rozporządzające ani jednym miastem, ani jednymi koszarami, ani jednym większym składem broni. W Rapperswyłu prze-studiowałem dokładnie archiwa Rządów Narodowych 1863 i 1864 r. I stwierdzam: nie było ani jednej partii bez co najmniej jednej chłopskiej kompanii kosynierów. A że udział wiejskiego ludu w powstaniu nie był liczniejszy — przyczyną tego był nie tyle zbyt słaby patriotyzm chłopów, co brak broni. Tylko najzapaleńsi romantycy mogli chcieć iść z kosami na armaty. Pamiętam dobrze, jak jeden z fernali mego ojca, który był w partii, mówił mi: "żebyśta byli widzieli u powstańców choć jednomu harmatę — oj, poszło by ludu nie mało."

Ale powstanie zostało zgniecione. A zaraz potem "cysorz" dał ziemię chłopom. Nie dość tego. Rząd rosyjski, przeprowadzając uwłaszczenie, nie uregulował sprawy tak zwanych serwitutów, t.j. tradycyjnych uprawnień włościan do pasania swego inwentarza na dworskich rżyskach i pastwiskach, oraz do zbierania chrustu na opał w dworskim lesie. W zaborze pruskim przy uwłaszczeniu włościanie zostali wynagrodzeni za zniesienie serwitutów odpowiednimi przydziałami ziemi z gruntów folwarcznych. W Galicji serwituty zostały zamienione na "gminne

pastwiska," wykrojone z gruntów dworskich. W Królestwie serwituty pozostały nadal w ich tradycyjnej formie. I o nie wybuchały nieustannie zatargi między wsiami i dworami. A dla regulowania wszelkich między chłopami a dziedzicami zatargów przewidująca je zgóry władza carska ustanowiła powiatowych "komisarzy włościańskich." Nic dziwnego, że w tych warunkach chłopci bali się naogół narazić się cokolwiek "ruskowi." Część jednak ziemian potrafiła jeszcze w sześćdziesiątych i siedemdziesiątych latach ułożyć się z włościanami i zamianę serwitutów na pewne przydziały gruntowe (zazwyczaj morga ziemi za sztukę bydła). W tego rodzaju wsiach (należała do nich i moja wieś rodzinna) komisarz włościański nie miał nic do roboty ku chwale "cara-batuszki."

Takich wsi było jednak w 1890 r. jeszcze niedużo. Przeważała wzajemna nieufność inteligencji do chłopów i chłopów do inteligencji.

To też niemalą sensacją, graniczącą niemal ze zgorszeniem nawet w kołach postępowej młodzieży, był artykuł Popławskiego, w którym z tytułu 25-tej rocznicy uwłaszczenia włościan postawił tezę, że pomimo wszystko, co tej carskiej reformie towarzyszyło, — czyniąc włościan dziedzicami ziemi polskiej, nie oddaliła ich ona od Polski, lecz bardziej z Polską zespoliła. Konkretyzując w ten sposób demokratyzm polski Popławski konkretyzował również i pojęcie narodu przede wszystkim budząc odpowiednio redagowanymi korespondencjami z kraju zainteresowanie codziennym życiem kulturalno-narodowym na przestrzeni całej Polski.

nia wojsk sowieckich do Polski będzie jeszcze wiele do zrobienia lepszego od bezradnego załamania rąk. Nie jesteśmy bez głosu wśród narodów sprzymierzonych. A będą one miały pod koniec wojny nie mało do powiedzenia o przyszłości i całej Europy i naszej.

Na szczęście defetyzm, wiejący ze słów p. Mackiewicza "Wtedy będzie koniec" nie opanował ani naszego Rządu, ani Rady Narodowej, ani żadnego ze współpracujących w niem stronnictw.

Do ostatniego dnia wojny i nawet po niej, aż do chwili

ostatecznego ustalenia nowej mapy Europy nie powiemy sobie, niezależnie od jakichkolwiek przesuwania się frontu i jakichkolwiek nowych uderzających na nas ciosów tych słów małodusznych: "to koniec" — ale pracować i walczyć będziemy, by Polska wyszła z tej wojny nie pomniejszona i osłabiona, lecz wzmocniona.

A gdyby — nie daj Boże — wszystkie nasze zabiegi w tej wojnie zawiodły — to i tak nie będzie jeszcze koniec. Bo oparty na zasadzie siła przed prawem nowy ustrój Europy i świata długo by nie potrwał.

SĄ PIENIĄDZE

na urlopy żołnierzy.

W okresie świąt Bożego Narodzenia, gdy bardzo wielu żołnierzy stara się o urlop, warto przypomnieć, że w budżecie istnieją odpowiednie sumy na dodatki urlopowe dla żołnierzy.

Sprawa ta ma dość długą historię. Pracując nad preliminarzem budżetowym na rok 1942 Rada Narodowa uchwałała między innymi trzy i rezolucje:

Rada Narodowa wyraża opinię, aby żołnierze polscy uzyskiwali urlopy wypoczynkowe tak długie, jak to otrzymują żołnierze angielscy.

Rada Narodowa wyraża przekonanie, że szeregowi nie powinni zmieniać urlopów zdrowotnych na wypoczynkowe, co łączy się z utratą strawnego.

Rada Narodowa wyraża opinię, aby szeregowcom i

starszym szeregowcom, w miarę możliwości także i podoficerom wyjeżdżającym tak na urlop wypoczynkowy, jak i zdrowotny wypłacano strawne w kwocie przewidzianej w tabeli na dożywienie. Dotyczy to tylko oddziałów stacjonujących w Zjednoczonym Królestwie.

Tak brzmiały trzy uchwały Rady Narodowej. Członkowie Rady wykazywali, że w kredytach wojskowych są kwoty mogące wystarczyć na wypłacanie strawnego.

24 czerwca 1942 r. Rada Ministrów wprowadziła dla szeregowych. W.P. dla wszystkich stopni od chorążego do szeregowca z dniem 1.X.1942 specjalny dodatek urlopowy w wysokości 3 sh. dziennie za okres urlopu w ciągu 20 dni w roku.

Wśród kredytów dodatkowych do budżetu na rok 1942 znalazła się suma 15 tys. funtów (z t.zw. budżetu cywilnego)

A w artykułach swych wybiegał nieraz myślą po za granice nie tylko Królestwa, lecz i Galicji i Poznańskiego, ku Śląskowi, Mazurom pruskim . . .

Nie był Popławski w tym wszystkim pierwszym nowatorem. Gorętszym jeszcze umiłowanie ludu wiejskiego od jego artykułów brzmiały poezje Konopnickiej. Niemniejszą też wiarę w płynący z ukochania ziemi instynkt narodowy masy chłopskiej wypowiedział Prus w swej "Placówce." Uczyły też czerpać inspirację dla narodowej twórczości ze skarbnicy podań i pieśni ludowych — Zbiory Kolberga. Istniało też w myśl wskazań pracy organicznej w niejednym dworze i probostwie, a tu i ówdzie i w miasteczku tajne nauczanie dzieci włościańskich czytania i pisania po polsku. Czynną też już była prowadzona przez studentów uniwersytetu warszawskiego "tajna oświata ludowa." Z jej szeregów wyszli następnie główni działacze prowincjonalni Ligi Narodowej, a z czasem i Narodowej Demokracji.

Były więc już wszystkie poszczególne elementy tego prądu ideowego, który propagował w "Głosie" Popławski. Ale on je pierwszy bodaj łączył w pewien całokształt ideologiczny.

Nie był to jednak jeszcze oficjalny program całej redakcji "Głosu." Stałym jego współpracownikiem był również Hłasko. Właściciel dużego majątku ziemskiego na najdalszych naszych północno-wschodnich kresach — żył zgola nie po pańsku, w jednym również jak "Bohusz" pokoju, nieco tylko obszerniejszym i lepiej umebłowanym. Co robił ze swym niemałym dochodem — tego nigdy się od niego nie dowiedziałem. Przypuszczam, że

przyczyniał się on niemało do kosztów wydawania "Głosu." Hłasko interesował się żywo zagadnieniami społeczno-gospodarczymi i miał wyraźne socjalistyczne sympatje. Później stał się jednym z naczelników działaczy Ligi Narodowej. Ale wówczas nie było jeszcze wyraźnej demarkacyjnej linii między socjalistami a narodowcami.

Nie stałym, ale wybitnym współpracownikiem "Głosu" był również Aleksander Więckowski — który następnie zarówno w czasie wojny japońskiej, jak i w 1917 r. odgrywał dużą rolę w radykalnym rewolucyjnym ruchu rosyjskim. Pisywał też do "Głosu" młody ekonomista Hering — raczej radykalno-postępowego kierunku myśli. A i ja — choć socjalista — wystąpiłem po raz pierwszy publicznie w 1891 r. właśnie w "Głosie."

Naczelną atmosferą redakcji "Głosu" było nie tyle propagowanie jakiejś określonej doktryny społecznej czy politycznej, co szukanie wyjścia z tego strasznego położenia, w jakim się znalazł naród nasz po upadku powstania, wobec rosnącej nieustannie potęgi rządzonej przez Prusy Rzeczy Niemieckiej i Rosyjskiego Imperium oraz ich ścisłego sojuszu, którego jedną z podstaw była coraz bezwzględniejsza antypolska polityka germanizacyjna i rusyfikacyjna.

To też w warszawskich gimnazjalnych kołach samokształcenia "Głos" był bardziej czytany i dyskutowany od "Prawdy" pomimo, że w czasie, gdy należałem do ich "Centralizacji," przeważały w nich raczej socjalistyczne tendencje.

Stanisław Grabski.

na dodatki urlopowe. Referat budżetu wojskowego w Radzie Narodowej wykazywał, że łącznie z sumami t.zw. kredytów wojskowych są dostateczne środki na wypłacenie dodatków urlopowych dla wszystkich szeregowych i to przynajmniej przez kilkanaście dni w roku. Wysuwano również zastrzeżenia przeciwko decyzji, że dodatek urlopowy będzie wypłacany szeregowym dobrze się sprawującym, o czym decyduje dowódca oddziału, a niekaranym, którzy wyjeżdżając na urlop nie otrzymują karty zaopatrzenia.

W Radzie Narodowej wypowiedziano pogląd, że dodatek urlopowy powinni otrzymać wszyscy szeregowi, bez żadnych ograniczeń. A gdyby brakowało pieniędzy (na co się nie zanosilo), to raczej, jak doradzał jeden z członków Rady — należało płacić wszystkim żołnierzom dodatek urlopowy przez mniejszą ilość dni w roku, a więc np. jeśli nie przez 20 dni, to przez 17 dni, a nie dzielić żołnierzy na różne kategorie.

Kalendarzyk Polaka w W. Brytanii na rok 1944

Zawiera: kolorowe mapy świata w wyk. Firmy Bartholomew, kolorowa mapa Polski, plan kolejki podziemnej w Londynie, wyczerpująco opracowane adresy polskie oraz wiele informacji.

Oprawa skórzana w kilku kolorach.

Odznaki: lotnicza, spadochronowa, marynarki wojennej, wojsk pancernych i Pol. Wyd. Lekarskiego w Edynburgu.

Cena: 5/-

Sprzedaz tylko za gotówkę.

Zamówienia: Amelia Laskowska.

8 HOPE STREET, EDINBURGH.

**Coraz
powszechniej
używają
oficerowie**



PASTY

NUGGET



Również w kolorach
czarnym i ciemno-
brąz.

WOJSKOWY BRĄZ
(w pełnym tonie koloru)

**dla nadania swym buci-
kom pięknego połysku
i elegancji.**

**Produkcja zmniejszona
używajcie oszczędnie.**

F/P

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

BUCKINGHAM PALACE MANSIONS, BUCKINGHAM PALACE ROAD, LONDON. S.W.1.

zawiadamia o wydaniu książki:

ALEKSANDER KAMIŃSKI

KSIAŻKA WODZA ZUCHÓW

“ Biblioteka Harcerska No. 2 ”

Str. 380

Cena 7/-

Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach

Ogłoszenia przyjmują: Advertising Offices—THE CARLTON BERRY CO.

437, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2.

Tel.: ABBey 5108.